

## PIOTR KOTOWSKI ur. 1955; Ostrów Lubelski



<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	DKF Bariera
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; po 1944 roku
<b>Słowa kluczowe</b>	DKF Bariera, FilMOTEKA Narodowa

### DKF Bariera

Początkiem działalności DKF-u „Bariera” był ‘72 rok. Jego założycielem był ówczesny student wydziału prawa UMCS Jan Orzechowski, późniejszy niespełniony producent filmowy, a dzisiaj robiący bliżej nieokreśloną karierę za oceanem, w Stanach . Robił to na tyle efektownie, że od razu ustawił ten klub w uprzywilejowanej pozycji. Otóż na czym to polegało. Wówczas dla każdego klubu bardzo trudnym do spełnienia marzeniem był dostęp do klasyki filmowej, zgromadzonej w zbiorach FilMOTEKI Narodowej. Podpisanie umowy z FilMOTEką Narodową, tzn. dostanie się do tego dobra wymagało długich lat czekania w kolejce, aż zwolni się miejsce. Czekano się prawie tyle co na mieszkanie. Natomiast Janek użył bardzo sprytnego fortelu, bo poszedł na spotkanie z dyrektorem FilMOTEKI, jak wielu innych prowadzących kluby. Dyrektor na takie spotkania był już uodporniony, więc odpowiedź, która była na nie była z góry wiadoma. Ale Janek go zaskoczył, bo nie prosił wcale o podpisanie umowy z FilMOTEką Narodową tylko o udostępnienie klasycznych filmów radzieckich na przegląd filmowy w klubie. No na takie dictum dyrektor nie mógł odpowiedzieć negatywnie, no bo rzeczony mógł się poskarżyć odpowiednim instancjom partyjnym, że dykcja FilMOTEKI Narodowej szykanuje kino radzieckie. Ale żeby taki przegląd zrobić to niestety trzeba było taką umowę podpisać. No więc fortel się udał i na starcie mogliśmy pokazywać wszystko co najwartościowsze w dotychczasowej historii kina. To pozwoliło nam szybko zbudować fundamenty i w szalenie krótkim czasie stać się właściwie takim klubem rozpoznawalnym w Polsce, jednym z kilku, które wymieniało się w jednym rządzie jako te, które decydują o obliczu tego ruchu. Chociaż mieliśmy w sobie pokorę, a koledzy nasi, którzy prowadzili „Kwant” w Warszawie przy politechnice, czy „Żak” w Gdańsku, albo „Kinematograf ” w Krakowie mają trochę dłuższy staż i bogatsze doświadczenie, to byliśmy ambitni i szybko uczyliśmy się. No i udało się te braki wyrównać. Innym szczęśliwym pomysłem na „Barierę” było to, że dosyć szybko, ale to już po odejściu Janka, który właśnie poszedł do szkoły filmowej w Łodzi studiować produkcję filmową, i po krótkim okresie panowania Ewy Zawadzkiej, dzisiaj robiącej za redaktora naczelnego wydawnictwa Akademii Rolniczej, udało się zrobić demokratyczny pucz i wspólnie ze Stanisławem Krusińskim, dzisiaj bezrobotnym dziennikarzem, przejąć ster władzy w „Barierze” i nasycić ją swoimi pomysłami. Jeden z tych pomysłów, dla nas bardzo szczęśliwy, polegał na nawiązaniu współpracy z ośrodkami kultury i z ambasadami funkcjonującymi w Warszawie i za ich pośrednictwem właśnie na wyciąganiu filmów, które w inny sposób nie trafiały na nasze ekrany. Nie było to mile widziane przez

ówczesne władze, bowiem władza doskonale rozumiała, że w ten sposób dokonuje się pewnego rodzaju indoktrynacja, że pokazujemy te filmy, które nie są takie całkiem niewinne. Nawet jeżeli opowiadały historię miłosną to pokazywały inny świat, inną rzeczywistość, to wszystko, co widać na drugim planie, i tworzyły pożywkę dla pytań jakich władza być może wolałaby, żeby ludzie sobie nie zadawali: Dlaczego tam ludzie żyją tak, a u nas inaczej? No ale skoro już ta furka została uchylona, to nie bardzo można ją było przytrzasnąć i hojnie z tego źródła korzystaliśmy. Po dzień dzisiejszy, jak spotykam przypadkowo ludzi, którzy w tej chwili funkcjonują w biznesie, w aparacie władzy, to wszyscy pamiętają bardzo dobrze okres swojej bytności w DKF-ie i bardzo dobrze pamiętają filmy, które wtedy oglądali. Może właśnie dlatego, że one częściowo miały smak owocu zakazanego, a to na długo zapada w pamięć. Dzisiaj już nic tak nie cieszy, kiedy jest to łatwo dostępne, na wyciągnięcie ręki. Nawet nie trzeba facygować się do kina, wystarczy kupić gazetę z insertem i ma się film. Ale dla nas wówczas to był duży skok. Ten klub był jednym z niewielu miejsc w Polsce, gdzie można było oglądać filmy Żuławskiego, Borowczyka, Oshimy, Schlöndorffa. Słynny „Błaszany bębenek” pokazywaliśmy wówczas chyba ze dwadzieścia razy. Tak się w końcu do niego przyzwyczaiłem, że kiedy później udało mi się z kolegami założyć na pewien czas, firmę dystrybucyjną „Black Cat” to pierwsze filmy jakie zakupiliśmy do rozpowszechnia na naszych ekranach w Polsce to był „Błaszany bębenek” i „Imperium zmysłów” Oshimy, które tak hołubiliśmy kiedyś na tych tajnych pokazach. Pokazy w klubie miały charakter zamknięty. To była nasza jedyna forma obrony przed ingerencją z zewnątrz, więc mogliśmy je robić dla członków klubu. Żeby być członkiem klubu, czyli kimś wtajemniczonym, należało posiadać karnet klubowy. Bywały takie okresy, że na ten karnet czekało się wiele miesięcy, aż ktoś zrezygnował. Wtedy dopiero można było wejść na jego miejsce. Liczbę członków ograniczała tylko pojemność sali projekcyjnej. Sala w „Chatce Żaka” ma 400 miejsc. Oczywiście zdarzyło się, że wchodziło tam znacznie więcej osób, bo nie sposób było się obronić przed naporem tłumu, często w ilości podobnej do liczby zasiadających na sali, i trzeba było pójść na jakieś ustępstwa, żeby nie zginąć na bramce. Generalnie to 400 osób to jest tyle ile miejsc na sali, tyle ile członków. Utajnienie dotyczyło też często afisza, bo zdawaliśmy sobie sprawę z kontrowersyjności niektórych tytułów, więc żeby nie drażnić przeciwnika to afisz klubowy wyglądał często tak, że „niespodzianka” jednego tytułu była pod jedną datą, pod następną był „wakat” i tak na zmianę, bez żadnego tytułu. Ale to nam właśnie dawało szansę uprzedzenia ruchów drugiej strony, bo to co już po fakcie, no to po fakcie, to nie ma już o czym rozmawiać, ale ważne, żeby taki pokaz mógł się odbyć. Zresztą nie wiem, może tutaj w Lublinie mieliśmy mniej restrykcyjnie nastawione do takich działań władze, łącznie z oddziałem cenzury, bo w wielu innych środowiskach w Polsce wcale nie wyglądało to tak różowo i często siłą nakazu administracyjnego do takich pokazów nie dochodziło. Nie przypominam sobie żadnego przypadku, żebym musiał odwołać projekcję, choć wielokrotnie, no może nie za często, ale zdarzały się próby naciskania na nas, żebyśmy sami zrezygnowali z takiego pomysłu, ale nigdy nie zgodziliśmy się na tego typu propozycje. Seans zaplanowany przez nas zawsze się odbył. Właściwie we wszystkich instytucjach, z którymi mieliśmy jakiś kontakt, bo zależało nam przede wszystkim na wyciąganiu filmów, trzeba było znaleźć taką osobę, która będzie nas na terytorium danej placówki popierać i wspierać. Która będzie załatwiać zgodę u producenta, a w przypadku filmów zachodnich, żeby one przychodziły, ale na pokazy wewnętrzne, na terenie Instytutu Kultury czy ambasady. Każde wypożyczenie wiązało się z jakimiś dodatkowymi kosztami, które te placówki brały na siebie. Ale jeżeli chodzi o nas to być może widzieli nasz entuzjazm i sens, efekt tej pracy, więc bardzo nas w tym wspierali. Aczkolwiek bywały takie sytuacje, że nie dało się filmu wywieźć poza rogatki Warszawy i chyba ze dwa razy robiliśmy sesje pokazowe na wyjeździe. Czyli było to w Warszawie, dwukrotnie w przypadku ambasady amerykańskiej, gdzie okazało się, że producent nie zgadza się na pokaz inny niż na terenie ambasady. W jednym przypadku chodziło o film „M.A.S.H” Altmana, na długo zanim pojawił się na ekranach, a w

drugim bodajże o „Pożegnanie z Afryką” Sydneya Pollacka tuż świeżo po rozdaniu Oskarów, gdzie zgarnął całą masę statuetek. Więc ogłosiliśmy wówczas w Klubie, że jest możliwość obejrzenia tego, a później, za jakiś czas następnego filmu, ale na sesji wyjazdowej, w Warszawie, więc dodatkowo poza legitymowaniem się karnetem, trzeba było jeszcze zainwestować w bilet kolejowy do Warszawy. Ale o dziwo bardzo duża grupa osób na tych seansach się stawiła. Głód kina był wówczas taki, że wydawało się, że żadne przeszkody nie są w stanie go powstrzymać.

Data i miejsce nagrania	2005-10-27, Lublin
Rozmawiał/a	Dominika Jakubiak
Transkrypcja	Joanna Stachyra
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"